Lwów, 3. Lutego. №15. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartał. **1** Złr. **30** kr. miesieczna **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Byciny mód kwartał. **1** Złr.

Ogłoszenia wszelkiega rodzaju przyjmują się zo opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za nastep. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

CZERCZA MOGIŁA.

Powieść przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Paweł siadł na konia pod folwarkiem i najkrótszą drogą popędził ku Czerczej mogile, co miał tchu, ale nim jej dopadł, już go Hawnul wyprzedził. Żużel spostrzegł go zbierającego w połę kapoty biedne szczątki dziecięcia, zmiatającego ziemię z którą się zamięszały, a tak strasznego wśród tego grobowego zajęcia, że mu się zdał obłąkanym. Słowa się z niego dopytać nie było można, ani pokierować nim, ani dowiedzieć się czego chciał. Nareszcie gdy zebrał zwłoki dziecięcia Hawnul, z okiem wlepionym w te reszty istoty mu drogiej odwrócił się od mogiły i począł iść ku dworowi niepatrząc pod nogi, instynktem jakimś ale żywo miotany uczuciem wielkiem, które piersią jego stalową miotało.

Blisko wsi był smentarzyk wiejski, ocieniony kilką wierzbami i sosnami, ale jak zwykle bez żadnego ogrodzenia i rowu nawet. Na nim wedle starego tych okolic zwyczaju nie tyle krzyżów chrześciańskich stało, co poziomych budowelek w kształcie małych chatek wiejskich, na wzór jeszcze pogańskich izb, pokrywających groby. Na mogiłach uboższych ludzi leżały dyle grube, na dwóch bierwionach sparte, a z przodu na kształt daszka wyrobione, wizerunki domków, których zbudować możność nie dozwoliła. Znać w tej stronie, w prastarych jeszcze czasach zwyczajem być musiało dla każdego zmarłego, czy dla całych rodzin wspólne stawiać grobowce, w kształcie chatek w zrąb wznoszone, a dranicami kryte. Pod temi budowlami stawiano zapewne w dnie przypomnienia, (spominki) na Dziady, w dzień zaduszny, obiady (czyli obiety, ofiary) makową juszkę, pęcak, kutię i inne potrawy poświęcone duchom zmarłych. Później na daszkach tych wiejskich pomników stanęły krzyżyki; chatki poczęli stawiać bogatsi tylko, ubożsi rodzajem dachów bez zrębu pokrywali mogiły, w ostatku kloc na podobieństwo dachu obrobiony zwyczajową chatę (*domowinkę*, tak zowią ludzie do dziś dnia trumnę w wielu miejscach na Rusi) zastąpił.

Chatynki te grobowe, niskie, czarne, na wpół porozwalane i przegniłe, jak innym poleskim tak i temu smentarzowi, ocienionemu kilką sosnami staremi i wierzbami rosochatemi, nadawały oryginalną fiziognomią.

Była to wioska umarłych, obok wsi żywych stojąca. Hawnul jakby sobie po drodze to miejsce przypominał, skierował się ku niemu, spojrzawszy tylko na Żużla, który z konia zlazłszy, w ślad za nim dążył.

Oba razem wstąpili na piasczyste wzgórze, od wieków służące wiosce za miejsce pogrzebu, i zatrzymali się pod rozłożystym jałowcem, który w pośrodku czarne swe gałęzie szeroko po żółtej wydmie rozkładał. Hawnul obejrzał się w koło, jakby szukał czem ziemię poruszyć, a Żużel zrozumiawszy myśl jego, pobiegł po gałęź sosnową, która nieopodal leżała. Łatwo było rozgrzebać tę ziemię niezsiadłą, niezwiązaną korzeniami roślin, bo prócz kilku krzaków piołunu i dziewanny nic na niej nie rosło i Żużel wykopał dół, aż nadto wystarczający na pogrzebanie zwłók dziecięcia.

Ale o pół łokcia w głąb, gałęź stuknęła o coś, i z pod piasku obnażona zaświeciła czaszka trupia. Paweł krzyknął i porzucił robotę. Przez cały ciąg jej Hawnul stał czuwając nad szczątkami dzieciny, z oczyma w nie wlepionemi. Głos towarzysza go obudził, spojrzał w głąb, usta mu się skrzywiły i nie wyjmując kości, sam jął się w maleńkim dołku układać nieforemne szczątki.

Ukląkł, pochylił się, zgiął, i jak matka układa w kolebce do snu ukochane dzieciątko, tak on z ostrożnością powoli rozszarpane członki zbliżał ku sobie, na miękkim składając je piasku. Potem rękami zsunął na ciałko otaczającą ziemię i rozogniony począł gromadzić do koła jak mógł zasięgnąć piasek, kamyki, gałązki, co znalazł pod ręką.

Żużel pomagał mu bojaźliwie i w kilka chwil usypali mogiłę dziecięciu pod starym jałowcem, ale Hawnulowi dosyć na tem nie było. Naprożno chciał go od tej roboty oderwać ekonom, nie było sposobu, zdawał się nie rozumieć, niesłyszeć, niewidzieć nic, oprócz piasku który połami nosił, nasypywał, ubijał, coraz większy gromadząc usyp.

To dziwne, gorączkowe zajęcie trwało już godzin kilka. Ekonom kręcił się z nim razem i coraz to słówko wrzucił nieznacznie o powrocie do domu, ale Hawnul, coć się gniewać nie umiał, i słyszeć też nie chciał. Jak bezduszna ma-

china pracował coraz to żywiej, coraz bezprzytomniej się rzucając.

Żużel wydołać mu już nie mógł, pot lał się z niego strumieniem, siły go opuszczały i musiał oddaliwszy się trochę, sparty o drzewo wypocząć. Ale oczy jego wciąż były skierowane na Hawnula, bez wytchnienia znoszącego jeszcze piasek, bierwiona, szyszki sosnowe i kamyki.

Już słońce miało się ku zachodowi, a Hawnul nie poprzestawał jeszcze. Żużel odważył się prawie gwałtem oderwać go i za rękę pochwyciwszy, nie bez strachu, zawrócił go ku domowi. Sumienie kazało mu się na to odważyć, choć znając siłę i popędliwość pana, obawiał się, by go w miejscu nie ubił.

Ale Hawnul tak był widać znużony, tak nieprzytomny, że gdy go Paweł pochwycił, zatoczył się tylko, krzyknął i upadł twarzą na ziemię bez czucia.

Opodal przechodzili właśnie ludzie z pól wracający, a Żużel widząc że sam sobie rady nie da, dosiadł konia i choć z wielką biedą i nie bez pomocy kańczuka, zmusił ich żeby mu pomogli odnieść Hawnula do domu.

Wzięli go jak martwego na ramiona, i tak powoli się mieniając dodźwigali do Krasnego. Żużel posłał po doktora, a sam nieodstępując chorego, usiadł przy jego łóżku. Życie zatamowane powróciło mu jeszcze, ale umysł zdawał się obłąkany, oczy nie widziały, uszy nie słyszały, usta nie otwarły się jednym wyrazem, jednem westchnieniem. Dano znać pani która ledwie się zwlokłszy z łóżka, przyszła, siadła przy nim i słowa także nie rzekłszy, rzewnie płakać zaczęła. Żużel który jej prawie nie znał bo rzadko i krótko ją widywał, postrzegł jednak łatwo, że we łzach jej więcej było żalu nad sobą samą, niż niepokoju o męża. Zdawała się na tem stanowisku raczej z obowiązku, z konieczności, niż z potrzeby serca.

Chory dyszał, leżał długo nieruchomy, ale po północy powieki mu się skleiły i usnął snem głębokim. Doktora niebyło i niebyło. Wprawdzie do miasteczka było półtorej mili czy więcej po brodach i korzeniach, ale gdyby go znaleziono, mógł choć z północy przyjechać, a nad świtaniem jeszcze go nie było. Jak tylko Hawnul usnął, pani odeszła do swojej izby, Żużel sam jeden pozostał przy chorym, świeca paliła się na zapiecku, a cisza panowała w całym domu, dotkniętym ręką Bożą.

Choć z początku strach go przechodził jakiś, już i Pawłowi w końcu oczy się zmrużać poczynały, gdy go lekki szelest przebudził; otworzył powieki i postrzegł Hawnula, który na łóżku siedział wyprostowany, oczy jego jak w tęczę wlepione były w otwarte drzwi od pierwszej izby, czarne i puste.

Omało nie krzyknął zrazu, dosłyszawszy głos Hawnula, który zdawał się z kimś rozmawiać. Z piersi chorego dobywał się straszny jakiś, jakby z grobu pochodzący jęk przeciągły, który żadnego nie miał podobieństwa do zwykłego jego głosu.

— Czego ty chcesz Polykarpie? mówił — czego? mogiłę zasypię... no! i krzyż ci na niej postawię... i mszę odprawić każę... idź! idź — pomściłeś się już dosyć!

Zatrzymał się i znowu mówić zaczął, zwracając oczy w drugą stronę:

— A! to ty! z krwawą piersią? to ty! O! ty mi nie darujesz.,. no! to szarp piersi moje... rwij je i napij się krwi mojej... ale niekaż za mnie pokutować niewinnym!..

Znów umilkł i znowu po przestanku się odezwał:

— I ty tu siwowłosy? i ty mi pokazujesz piersi wyschłe i wypłakane oczy, toś i ty mnie nie przebaczył... przyłączyłeś się do prześladowców moich.

— A i jeszcze jedna, dodał wstrząsając się... to matka! to matka! biada mi biada!... staje za dziecko swoje!

Głos jego zmięszał się z łkaniem. Żużel który się modlił i drżał jak liść, wytrzymać dłużej niemógł i krzyknął na wartownika, śpiącego w bokówce. — Oba razem prawie przybiegli do łóżka. Zastali Hawnula wyprężonego, z oczyma otwartemi, i powoli go jakoś na poduszkę złożyć potrafili.

Zaraz potem jakby paroxyzm choroby się przesilił, powieki się zsunęły, a sen znowu nadszedł głęboki, a tu już serduszko okiennic świtać poczynało.

Doktor, który dopiero około siódmej nadjechał, zastał go jeszcze w tym śnie pogrążonego i rozbudzać go nie kazał. Do południa ani się ruszył Hawnul i zegar bijący dwunastą, dopiero z łóżka go dźwignął. Ale na podziw wszystkim wstał przytomny, zdrów, trochę tylko znużony, wcale nie pamiętając co się z nim wczoraj działo.

Nierozumiał po co wezwano lekarza, i przypominał sobie niewyraźnie że osłabł był siedząc przy piecu... O dziecięciu, o mogile, ani słowa. Twarz jednak wielce była zmieniona, policzki wpadłe, oczy czarnem obwiedzione, usta spalone, a na nogach chwiał się z początku. Powoli jednak rozeszło się to jakby resztki pochmielu i Hawnul odprawiwszy doktora, pozbywszy się Żużla, na którego pogderał, odpędziwszy ludzi, pozamykawszy drzwi, poszedł do żony.

Parę dni minęły pospolitym trybem, ale Żużel nastraszony ostatniemi wypadkami, poczynał się niepokoić o przyszłość, i choć go ujął datek, choć litował się nad Hawnulem, ledwie już dotrzymywał w Krasnem miejsca, tak się tu czuł w atmosferze jakichś zjawisk nadprzyrodzonych, i jakichś wypadków nadzwyczajnych. Co krok coś go spotykało nieszczęśliwego, co dzień trafiał się jakiś przypadek, jakaś szkoda. Największa pilność, ostrożność i gorliwość zapobiedz im nie mogły.

Posypało się to nagle jak z rękawa jedno po drugiem. W tydzień po opisanych wypadkach, wieczorem zapaliły się gumna i nim z ratunkiem dobiegli ochoczy ludzie, spłonę-

ło wszystko przy ogromnym wietrze, który się zerwał jak naumyślnie: stodoły, szpichlerze, zapasy zboża, wełny, żelaziwa, słowem co dom ma szlachecki, nieżyjący z jutrem i nie goniący za groszem. Kiedy się pierwsze płomię ukazało po za dachem folwarku, Hawnul wyszedł z izby na ganek, popatrzył, siadł na ławie, załamał ręce i oczów nie odwracając od łuny pożaru, przesiedział tak niemal noc całą, dopóki czerwone brzaski i sine dymy wznosiły się nad pogorzeliskiem.

Ale nie rzekł ani słowa, nie dopytywał o przyczynę ognia, nie bolał widocznie na tę klęskę i zniósł ją do zadziwienia po chrześciańsku.

Dziwna rzecz choć gromada nie zbyt się opóźniła, a batóg Pawła Zużla ochoty jej napędził do pospiesznego ratunku, choć sadzawka była blisko, wodę lano, przerywano szerzeniu się płomieni i nic nie skutkowało.

Wiatru nie było w początku, potem zrywać się począł chwilami gwałtowny, jakby nim kierowała naumyślna niewidziałna ręka, by snopki rozżarzone na miejsca niedotknięte plagą przenosić. Ani spostrzeżono jak spaliło się gumno, jak zapalił się lamus, jak obory i stajnie z przyczołków smolić się poczęły. A gdy przyszło wypędzać dobytek, rycząc w płomienie, powracało bydło i konie, tak że ani zboża, ani chudoby, ani sprzętu wyratować nie było podobna.

W krótce potem wylew wody pozrywał groble, poznosił młyny, pozamulał sianożęcia i część pól niżej położonych, zatopił zasiewy. Przyszedł pomorek po resztę bydła, i jakieś licho na konie, że im tylko gardła puchły i jakby je co dusiło ginęły, choć do nich cygana konowała doskonałego o mil dziesięć sprowadzono.

Hawnul od śmierci dziecięcia, już się o tem wszystkiem dowiadywał, nieokazując najmniejszego uczucia, zimny, zobojętniały, nieumiejąc się gniewać. Żużel rządził na tych niedobitkach gospodarstwa jak chciał i słowa mu pan nie powiedział, bo się w nie wdawać nie myślał i raportów słuchać się wzdrygał.

Życie jego stawało się coraz bardziej niepojętem, z żoną nawet był coraz mniej i rzadziej, a najczęściej jak usiadł machinalnie z rana pod piecem, tak w tem miejscu gdyby posąg przetrwał do nocy, nie czując w sobie żadnej chęci do pracy, do zmiany miejsca, do widoku ludzi... do niczego.

Żona większą część tego czasu przeleżała w łóżku, bo jej zdrowie wielce w ostatnich czasach podupadło, a gdy sama się modlić nie mogła, to jej szlachcianka, którą miała w usługach, czytywała z książki różne modlitwy, a ta je za nią powtarzała półgłosem. Czasem wszedł Hawnul. Spytał się o co, postał naprzeciw łóżka, popatrzał, ale odprawiony kwaśnym głosem lub milczeniem, wynosił się zaraz do drugiej izby, na wiekuiste swe rozmyślanie. Niekiedy w nocy z pokoju chorej słyszano rozmowę, ale ta coraz była rzadszą i zwykle wybuchem jęków i płaczem żony się kończyła. Hawnulowa mimo bab, znachorek ziół, kąpieli, nakadzeń, i najrozmaitszych leków coraz była gorzej i gorzej. Z pięknej na podziw niewiasty skielet się zrobił wyżółkły, chudy, straszny resztką piękności niedogasłej i wyrazem jakiejś palącej rozpaczy. Kobiety wiejskie które się na chorobach znają instynktowo — widziały już, że Hawnulowa żyć nie będzie, mąż jakby tego nierozumiał zawsze się zdawał oczekiwać rychło li z łóżka powstanie. Nareszcie jednego dnia, nieco oprzytomniwszy, zajrzał do sypialni i wpatrzywszy się w chorą, przeląkł się jej stanu, jakby pierwszy raz uderzył jego oczy— przeląkl się i natychmiast wysłał po lekarza. (D. n.)

PSZCZOŁA HETMAŃSKA.

Ustęp z poematu Wincentego Pola.

Bujna w stepach pszczoła,
Pni przeszło tysiąc stało do około,
Kilka grusz starych chyliło się w środku,
A oddech kwiatów i smółki czy miodku
Napełnił wonią całą okolicę;
Z pola wracały ciche pracownice,
I całe grono ucichło na chwilę,
Oczarowane tą wonią tak mile.
A Mochort rzecze: «Dziwić się nie trzeba
Tutaj niczemu, bo to dary nieba,
Któremi Pan Bóg ziemię z niebem brata;
Jest to jak mówią: *Gratia gratis data.*

Sławna to, sławna Mości Książę pszczoła,
I jest tradycya, co krąży do koła
Po stepach Bugu, i po stepach Rosi,
Z którą się Naród po pasiekach nosi.

Był Mości Książę Hetman od Różańca,
Wielkiego herbu, potężnej buławy,
I jasnej cnoty, i szerokiej sławy.
Co od chłopięcia chodził z wrogiem tańca,
Co z hełmu jadał, a sławy przysporzył,
Z turzego rogu w czasie uczty pijał,
Co Naród kochał, co królowi sprzyjał,
A za ojczyznę siwą głowę złożył;
„Stróżem Podola" nazwał go lud cały,
Gdy legł — to śmiercią, uszył on Koronie
Czarną sukienkę — i po jego zgonie
Dziewki na Rusi tańców zaniechały.

Otóż to o nim powieść stara chodzi:
Że raz gdy wojsko na stepach postawił,
Chcąc dotrzeć twardo, czy liczny wróg godzi.
Sam na podsłuchy pod noc się wyprawił,
I z jednym tylko giermkiem ważył życie,
A całą ordę do koła objechał,
I do obozu powracał o świcie,
Kończąc pacierze i rad się uśmiechał.

Starsi czekali powrotu pańskiego;
Lecz choć im nie dał rozkazu żadnego,
Nikt się z czeladzi nawet nie zatrwożył,
Widząc że Hetman przespać się położył.

Usnął — a giermek wnijście od namiotu
Zasuł oponą — a choć nikt nie cichał,
Tak cicho było jakby człek nie dychał,
Że jak ptak leciał toś dosłyszał lotu.

Było to w lipcu, właśnie podczas roju,
Słońce podbiegło i stało wysoko,
Kiedy Pan Hetman przetarł ze snu oko,
Tak twardo usnął po rycerskim znoju,
I byłby jeszcze spał, bo się utrudził,
Ale brzęk roju co minął w polocie
Cały nasz obóz ze snu go obudził,
Bo opadł prawie na pańskim namiocie.

„Gdzie to już słońce! a co powie włodarz?
— Rzecze Pan Hetman — zły ze mnie gospodarz
Gdy mnie rój budzi. Czas poprawić cnoty.»
Zagiął rękawy, i pełen ochoty,
Niby pasiecznik, wziął się do roboty;
I zgarnął muchę, i z lekka podkadził,
I w braku ula w pancerzu osadził,
I dziewięć było szyszaków tej muchy;
I wszystek Naród nabrał ztąd otuchy,
Że Bóg rój spuścił na namiot Hetmana,
Że żadne żądło nie dotknęło Pana,
Jakoż Bóg szczęścił, i była wygrana.

Choć bez pancerza, Hetman wroga pobił;
Aż gdy w też miejsca znowu wojska sprawił,
Stał ul żelazny tak jak go postawił,
A rój był pięknie już głowę zarobił.

„Więc dobra wróżba!» Pan Hetman powiada,
«Niechże dar Boży w stepie nie przepada.“
I kazał naprzód cały jar poświęcić,
A potem czeladź do pracy zachęcić.
Usypał groblę, i stawek wyprawił,
I ściągnął ludzi, i młynek postawił,
Ogrodził futor, i okopał wałem,
Opatrzył bydłem; ot i owo zgoła
Odsypał kopce na stepie do koła.
Spisał przywilej, i z dobytkiem całym
Oddał na własność rycerskiemu człeku,
Co się był dobrze ojczyźnie zasłużył,
By w tym futorze dokonał już wieku,
I zdał go w ówczas dopiero potomnie,
Gdy już nie będzie więcej granic strózył —
Tak to się dostał w końcu futor do mnie.

W tem samem miejscu, gdzie onego czasu
Stał ul żelazny, dziś się pszczoła roi,
W tem samem miejscu gdzie mój namiot stoi,
Stał i hetmański namiot pośród lasu;
I w tej pustyńce od owej pamięci,
Święty Onufry błogosławi wodzie,
I co rok woda w tym zdroju się święci,
I słynie odtąd łaskami w Narodzie.

„Żelaznym ulem» jest ten futor zwany,
A ów ul sławny — jakto każdy powie
U Karmelitów był jeszcze chowany,
Za czasów Króla Jana w Berdyczowie;
Król Jan dopiero zabrał ten ul z sobą,
I w pańskiej Żółkwi był skarbca ozdobą.
A wszystkie sławne pasieki do koła,
Z tego to roju poszły po futorach,
I po słobódkach, i po pańskich dworach;
A wielką sławę ma — «hetmańska pszczoła.»
Nigdy nie spadnie, jak inne pasieki,
Lecz w łasce Bożej przetrwa na wiek wieki,
Byleby tylko człek nie był zachłanny
Co je choduje — a początek wzięty
Był z trzech pni tylko — na cześć Trójcy Świętej,
A światło dane do Najświętszej Panny,
To się i wiedzie, i jest z niej pożytek,
Więcej niż potrzeb i prawie nad zbytek,
I na przednowek i sobie i komu,
I dla kościoła, dla ludzi i domu.“

JEDNODNIOWKI.

(Ciąg dalszy)

I tak jakoś sporo zwinął się p. Michał z historyą, z tradycyą rodową i testamentem przepisaną spuścizną ojców, że w tydzień po tem, przyszedłszy według swego zwyczaju ksiądz pleban na rozchoworek i szklankę herbaty, przeżegnał się wielkim krzyżem, widząc gołe ściany salonu!

— *Benignissime*, a to co się stało?... zawołał przestraszony.

— To, co się już dawno stać było powinno, odrzekł z zadowoleniem pan Michał, ale my Polacy, zawsze ostatni za postępem zdążamy. Kiedy wszystkie narody odcięły faktycznie przesądy historyzmu, my się jeszcze walamy w tym kale, który nas brudzi i oszpeca.

Sędziwy staruszek stanął przed nosem ze szczyptą tabaki i nie wiedział, co z nią uczynić. Zdziwiły go nowe dogmata pana Michała, a nie mogąc znaleść klucza, gubił się w domysłach.

— Tak jest, antenaty nasze, ciągnął dalej pan Michał za długo już stały na pręgierzu przed okiem potomków swoich, aby im wreszcie nie dać spoczynku. Wywędrowały na strych, aby tamże spokojnie robak czasu zniszczenia swego dokonał.

Tu opowiedział bliżej pan Michał zaufanemu plebanowi całe zdarzenie.

Dawny Kościuszki towarzysz kręcił głową, krząkał, zażywał tabakę, a wreszcie odezwał się w te słowa:

— Dulcissime, jam ci nie człowiek od wczoraj. Widziałem ja różne sposoby, któremi chciano narody i państwa ratować. Ale tak bezbożnego nie widziałem jeszcze. Nie wiem jak tam świat teraz chodzi, bom wyleciał z kolei i stanął na ustroniu, jak krzew pieprzu, zaniesiony przez ptaka zamorskiego na gruzy zwalonej budowy. Alo wiem, czem karmi się serce i co je mężnem czyni śród nieszczęść świata. A wy to chcecie oderwać jak strzępki sukni schodzonej, to co jest szczerem złotem, wypróbowanem w ogniach tylu wieków?... Zaiste przeszłość narodu jest to łza jego bolu i tryumfu, skamieniała w perłę drogocenną, której wy wszakże szacować nie umiecie! Nie myślę ja wprawdzie, abyście ufając w cenność tej perły,

dawali ją w zastaw lichwiarzom, a jakiemi są namiętności samolubstwa, ale abyście w każdej uroczystości dziejowej czoło nią przyozdabiali, a wchodząc w nową żywota epokę, abyście z nią weszli, jak z najdroższą relikwią, jaką tylko kiedykolwiek naród posiąść może!.....

— Daruj, reverendissime — rzekł na to z ironią pan Michał — jest to głos ludzi starych, w przesądach zastarzałych. Ty i tobie równi nigdy światła tej nowej jutrzenki nie dojrzą, która nam tak błogo prześwieca!...

— Oby nie przyświecała łuną pożogi!...

— Stajemy na czele mas ludowych!...

— Lud, to broń straszliwa, ale broń bez rękojeści, kto chce za nią pochwycić, chwyci za ostrze!

Pan Michał atoli nie dosłyszał ostatnich słów staruszka, bo z *zasady* już tak mało siwy włos cenił, że nie widział potrzeby wysłuchać go do końca. Był on bowiem w tej chwili już najczyściejszej krwi radykałem, demokratą czy demagogiem, a chociaż o żadnej z tych doktryn jasnego nie miał pojęcia, posiadał jednak zapas pewnych frazesów i ogólników, któremi wybornie strzelać umiał.

Chcąc swoją świeżą zasadę i w życiu zastósować, zaprosił kilku chłopów do salonu, postawił przed nimi filiżanki z kawą i utraktował cygarami. Ekonoma ścisnął za rękę, gorzelnika w twarz pocałował, a przed arendarzem zdjął czapkę aż do ziemi. Dokonawszy tych wielkich rzeczy, poczuł się pan Michał w dumie demokratyzmu, a widząc się na czele ujętego tym sposobem ludu, uczynił przyszłej swojej władzy raport jak najpożądańszy i obiecał zastęp nieprzeliczony.

Dziwić się tylko należy, jak licznym musi być ród jednodniówek w naszem społeczeństwie, jeśli podobna myśl istoty efemerycznej mogła tyle zająć umysłów i tyle nieszczęsnych uczynić wyznawców. Zdawało się tym duchom efemerydom, że w jednym dniu można ideę powziąć i w czyn wprowadzić, jakoby to nie uczyła nas historya, że między ideą a jej urzeczywiszczeniem wieki zalegają! O tem jednak nie wiedzieli oni, bo odcięli się zasadą od przeszłości, a jutra swych czynów dojrzeć nie byli wstanie. Myśl olbrzymia, dzisiaj poczęta, i dzisiaj wykonać się mająca, zabsorbowała potęgę ich wzroku w żywot jednodniowy, a zajmując wszelkie ich władze swoim ogromem, niedozwalała im sięgać do najbliższych wynikłości. Upadając pod ogromem tej myśli, za mali byli, aby jej ciężar unieść dalej, więc rzucili ją w pół drogi na pierś narodu, nie pomni, że w tej piersi nie było sił, ni zdrowia.

Nastąpiło wreszcie gwałtowne przesilenie i pamiętna katastrofa.

Było to w lutym r. 1846.

W dniu niedzielnym zgromadzała się zazwyczaj w przedpokoju gromada, a pan Michał, ułatwiając niektóre sprawy, miał sposobność okazania w życiu swojej nowej zasady.

Owoż w dniu tym niedzielnym, ubrał się pan Michał w ubiór kroju siermięgi, i wyszedł do zgromadzonych. Czy źle widział, czy też w istocie tak było, ale postawa chłopów była dzisiaj jakoś butna, i niezwykła; a zamiast zwyczajnej w ugrupowaniu symetryi, raziła oko jakaś dziwna dysharmonia. Jedni z nich oparli się o szafki kredensowe, których się wprzód nie dotykano, drudzy podniósłszy w górę na kijach czapki baranie, zdawali się dzierżyć w ręku jakieś sztandary złowrogie.

Przeczucie nie omyliło pana Michała. Wyciągnął do uścisku rękę, ale ta zawisła w powietrzu, nie podjęta przez nikogo. Trwoga ogarnęła go.

— Darujte pane — przemówił wójt zawsze jeszcze z ukłonem, ale z pewną butą — taki my tutkie uczynymo rewizyu, a może znajdema borodatych.

Straszno zrobiło się panu Michałowi, mróz zimny przebiegł mu po kościach. Wszelki opór uznał za rzecz bezskuteczną, i tylko w bierności szukał ratunku.

Pozwolił więc przewracać chłopstwu sprzęty swoje, odmykać drzwi i szuflady, zaglądać wszędzie, a z każdym odrzuconym sprzętem, z każdym odmykającym się zamkiem, upadała potęga jego zasady bezwzględnej, a jej urok rozwiewał się jak mgła jesienna. Zasada ta wydała mu się teraz odzianą w postać brudną i rozczochraną zabłoconego pijanicy, którego dłoń on ściskał, którego usta całował. Szał jego inspiracyi jedno-dniowej opadał powoli, wzdrygnął się na widok odraźnej rzeczywistości, a westchnął na wspomnienie krzywd, wyrządzonych historyi, a mianowicie autenatom swoim.

Lecz tutaj czekało nań jeszcze większe rozczarowanie.

Chłopstwo doszło na strych i znalazło pełną skrzynię Junoszów. Było to dla jego rozumu rzeczą niepojętą, dla czego to pan Michał tak piękne rzeczy na strychu umieścił, jakoby z niemi chciał się taić przed światem, lub ich nabycia się wstydził.

— Jakto — wszak to obrazy naszych dziedziców dawnych! A to nasz pan nieboszczyk! Ho! ho! coś to się w tem święci, kiedy ich aż tutaj schowano! odezwali się.

Rozum prosty widział w tem oczywisty powód związania pana Michała, i byłby to niezawodnie uczynił, gdyby i stary ekonom nie był stósownego na to znalazł wykrętu.

Było to straszne rozczarowanie.

— Więc i to — pomyślał sobie w duchu pan Michał, com z serca wyjął i ludowi w ofierze złożył, jest dziś powodem jego nieufności? Aby się z nim zrównać, aby znieść wszelką między nami różnicę, wyparłem się przodków moich, i skazałem ich na wygnanie, aby przed obliczem ludu nie stali skargą przeszłości! A on dzisiaj widzi w tej ofierze, której pojąć i zrozumieć nie zdoła, wymierzony przeciw sobie czyn zdradziecki.. wietrzy w nim zbrodnią.... a może też wietrzy i dobrze...

W tem nadbiegł ksiądz pleban, a uspokoiwszy lud,

począł panu Michałowi coś w sekrecie opowiadać. Podczas gdy lica opowiadającego głęboką boleść i rozrzewnienie wyrażały, śmiertelna bladość okryła twarz słuchającego, a łzy potoczyły mu się po licu.

Pan Michał już wiedział o wszystkiem; wiedział, że zasada jego odbyła krwawy chrzest samobójstwa.

— O czarne serce, niewdzięczne — wykrzyknął po chwili, zaciskając pięści — w tobie była trucizna, gad i plugastwo, a myśmy myśleli, żeś ty czyste jak serce Cherubina!.... O myśli przeklęta..,

— Każda myśl, mój synu — odparł staruszek — ma dwa końce, jednym rodzi, a drugim zabija. Jeden tępy, drugi ostry; biada który ostry wybierze, w nadziei, że nim ugodzi. Zegnie się jak słoma i skaleczy rękę, która młot trzyma. Tępy koniec trzeba wybrać, synu mój, i trzeba cierpliwie czekać, póki pod razami pracy wiekowej nie przebije kory i sęku. A wówczas będzie on silny i dźwignie brzemię, które nań włożysz. Rozumny nie zniża się ale stara się podnieść to wyżej do siebie, co jest niższem od niego. Czyniąc tak, możesz liczyć na wdzięczność. Spadający z szumem potok o ziemię swoje wody rozbije, a spokojny i cichy w skale wymyje sobie koryto.

Nie słyszał atoli tych oryentalnych obrazowań pan Michał, bo myśl jego skierowała się w inną stronę, — myślał o własnem bezpieczeństwie.

Pożegnawszy więc staruszka, uczynił rachunek z swojem sumieniem. Musiał on wypaść niebardzo korzystnie, bo pan Michał zadumał się głęboko, i kilka razy z niepokojem w okno zaglądnął. Oznaki tego niepokoju powtarzały się coraz częściej, a z nowej jego niedawno z taką rozkoszą pieszczonej zasady, odlatywało zwolna ciało, w jednym dniu narosłe, póki sam szkielet nie zaświecił.

Tymto sposobem odbywał się zwolna proces rozkładowy olbrzymiej jego myśli, a wzniosłość jej pierwotna przetwarzała się w jakąś dziwną, niepoczesną karykaturę.

Żyjącemu z dnia na dzień w nieustannej trwodze, niewygodną wydała się nowa zasada, a za wiele szkodliwą, aby się jak najprędzej jej nie pozbyć. Rzucał więc od siebie jeden argument po drugim, dowodził jak najwidoczniej wszelkiej jej niepraktyczności, dla tego, że się w jednodniowym nie udała experymencie, a gdy tak częścią dla pozoru, częścią z popędu serca mówił i rozprawiał, stało się jakoś, że ranku jednego zatęsknił za najmłodszym swoim antenatem, i go w sali, z wielkiem zadowoleniem plebana, napowrót powiesił.

W przekonaniu pana Michała nastąpiła wprawdzie tak zwana rehabilitacya, chodziło tylko o łagodną formę tego przechodu, aby opinii zadosyć uczynić. I tak, niby od przypadku schodził ze strychu jeden Junosza po drugim, i zajmował dawne swoje miejsce. To tylko było szczególnem, że rehabilitacya szła od młodszych do starszych. Powoli wyrugowano z salonu nieznanego pochodzenia osoby, a gorzelnikowi zakazano, pod rygorem niełaski, wchodzić na pokoje z cygarem, jak to był zwykł od kilku miesięcy czynić.

Tym sposobem nastąpiła w głowie, w sercu i w domu pana Michała restytucya na podstawie jak najobszerniejszej. Zlatywały się z różnych kontynentów, wyemigrowane myśli i uczucia, tradycye i przesądy, jak je niegdyś sam nazwał, i osiadły znowu na tronie w królewskim dworze potomka Junoszów. Uśmiechali się dobrodusznie do nawróconego syna starzy ojcowie, i zdawali się przebaczać mu jego trzykrotne zaparcie się, skoro usłyszawszy pianie kura, przyszedł do siebie. I wszystko miał znowu w koło siebie pan Michał, co tylko z historyi mógł sobie przyswoić — wszystko, prócz tej „drogocennej perły“ o której ksiądz pleban wspominał.

Taki koniec miał demokratyzm pana Michała. Schwyciwszy myśl wielką i ogromną, z której jedynie czas i praca mogą dopiero wydobyć owoc pożywny, rzucił ją w ziemię niesprawioną, i w jednym dniu chciał ją ujrzeć wyrosłą w kwiat uroczy. Gdy to wszelako nie nastąpiło, a przeciwnie zamiast kwiatu, dobyła się z ziemi poczwara, i rzucone zdeptała ziarno, siewacz jednodniowy, cofnął się z przestrachu i własną pracę i nadzieję potępił.

I znowu z-żymał się pan Michał na swoje głupstwo i ślepotę i gniewał się na siebie, że przeżył zwykły epizod człowieka jednodniówki. Dziwił się jakim sposobem mógł się dać obcym doktrynom tak osidłać, że się aż do roli głupiego radykalizmu poniżył i nic przez to nie uzyskał, a obiecawszy poprawę i statek, postanowił w duchu: być w obec Boga, sumienia i ludzi tem, czem był z pradziada — Junoszą.

Wszakże powrót ten do tradycyi rodowej byłby najlepszą ze wszystkich pana Michała myśli, gdyby prawdziwą istotę owej «perły drogocennej“ był poznał i przy niej pozostał, nie odziewając poważnej swojej postaci w niezgrabne szaty radykalizmu, którego wcale nie pojmował.

Ale fatalizm jest niekiedy bez logiki i bez konsekwencyi.

Owoż fatalizm chciał, że w chwili, gdy się pan Michał zupełnie wytrzeźwił, gdy potępiwszy w myśli i w przekonaniu zasadę swoją bezwzględną, a co większa, gdy oczyściwszy się właśnie z chwilowej zarazy, przeciw wszelkim demagogicznym doktrynom zacięty bój wytoczył i właśnie jako wielkie a przeciw temu złemu nader skuteczne „antidotum“ w całej okolicy był zasłynął, właśnie w tej chwili skutkiem śledztw sądowych, ujrzał się pan Michał w więzieniu, pokutując za myśl, której już dawno w jego przekonaniu nie było!

(C. d. n.)

Listy gospodarza wiejskiego.

V.

Zestawienie w całość ważniejszych chwil, czy to z życia narodów, czy towarzystw, czy pojedynczych ludzi, jest najwymo-

wniejszem świadectwem zasług położonych, bądź około dobra prywatnego, bądź około cywilizacyi i pomyślności powszechnej. Czyny oparte na cnotach publicznych i prywatnych, są cennikiem wartości moralnej narodów, towarzystw i pojedynczych ludzi, są silną odpowiedzią na wszystkie zarzuty, na wszystkie rozprawy.

Gdy więc zadaniem dzisiejszego listu okazać, jaki udział w kraju w ogólności a w szczególności u członków swoich znalazło c. k. galic. tow. gospodarskie, i sprawa przyszłego rolniczo-przemysłowego zakładu w Dublanach, to jużcić wychodząc z zasad na wstępie przytoczonych, najstósowniejszem będzie zestawić w wiernym obrazie najważniejsze chwile z życia c. k. galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego, obok czynów, dokonanych przez naród dla pomyślności rolniczej, dla świetności przyszłej rolniczo-przemysłowej szkoły w Dublanach, i dla utrzymania powagi i wpływu c. k. galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego w kraju i zagranicą.

Każdy z nas pamięta te niedawne czasy, w których wszelki objaw narodowego życia, wszelkie towarzyskie przedsiębiorstwo, podjęte w celu powszechnego dobra, natrafiały na nieprzełamane zapory ze strony tych, co stojąc u steru krajowego rządu, nie byli synami tej ziemi, którą rządzili. I dla tego przynależy wszelka cześć tym mężom, którzy pierwsi podjęli myśl założenia towarzystwa gospodarskiego, i myśl tę raz powziętą szczęśliwie na dniu 3 lipca 1845 r. używotnili *).

Rok następny, a wkrótce rok 1848 zawichrzył umysły w kraju i postawił towarzystwo zaledwie w możności wegetacyjnego życia. Lecz pomimo jednej i drugiej politycznej burzy, zręczni sternicy dążyli zwolna ale pewnym krokiem do zamierzonego celu, i omijali szczęśliwie wszelkie niebezpieczeństwa, jakie groźnemi falami biły o ich nawę, płynącą po środku wirów niedostatku i zamieszek politycznych.

Na każdem posiedzeniu półrocznem odzywały się głosy za założeniem szkoły rolniczo-przemysłowej, tego węgielnego kamienia pomyślności rolniczej. Głosy te z początku były słabe, bez jasnego pojęcia rzeczy, ztąd często spaczone zdania o szkole, i zakładzie gospodarskim, ztąd niektóre błędy, jak zakład w Łopusznie, ale czas postępywał dalej, a z nim przemogła myśl zdrowa, i w roku zeszłym kupiono Dublany na rzecz zakładu rolniczo-przemysłowego.

I otóż zarys ważniejszych chwil z życia towarzystwa gospodarskiego, zarys dziesięcioletnich zabiegów korporacyj, złożonej z 559 członków czynnych, członków wybranych z najzamożniejszych i najświatlejszych ludzi w kraju! **).

Smutny to obraz dziesięcioletniego życia, tak licznego, i z tak zamożnych członków złożonego towarzystwa, kiedy w tak szczupłe ramy ująć się daje. Ależ koloryt jego okaże się w daleko smutniejszem świetle, gdy się przypatrzymy czynom, gdy policzymy dary zniesione na ołtarz nauki i pomyślności narodowej, gdy zobaczymy rozpaczliwą walkę uczuć i ofiar patryotycznych kilkunastu męży, z zimnym egoizmem ogółu i tegoż straszną obojętnością na wszystko, co ominęło korzyść osobistą, co wystąpiło za próg rodzinnej strzechy, aby wesprzeć nędzę bliźniego, rozjarzyć światło nauki, i utorować drogę do szczęścia następnym pokoleniom.

Kiedy w roku 1845 udało się kilkunastu członkom dzisiejszego towarzystwa, myśl szczęśliwie powziętą doprowadzić do celu, zdawało się że kraj cały z radośnym okrzykiem przyjmie tę wieść tyle w skutkach swoich zbawienną, i pospieszy z ofiarami, aby w towarzystwie rolniczo-przemysłowem ustalić godną reprezentacyą pięcio-milionowego rolniczego narodu, któremu Bóg dozwolił na przestrzeni 1548 mil kwadratowych, uprawiać 5.802,736 morgów roli, 3,415,534 morgów łąk i pastwisk i 4,237,431 morgów lasów, a dozwolił z warunkiem, aby kiedyś zdał sprawę z zarządu tak szczodrego daru. Ależ inaczej się stało. Miejsce zapału zajęła zimna obojętność i złośliwa krytyka, a głucha wieść błądząc po kraju, i z nieśmiałą pokorą wstępując w progi obywatelskie, doznawała wzgardy lub upokorzenia, i tylko tu i owdzie rzucono jej jakby z miłosierdzia okruchę, pozostałą od stołu towarzyskiego zbytku.

Tak myśl wzniosła, zamiast urosnąć w olbrzyma, zmalała do karła, a towarzystwo zamiast wzrość w potęgę wpływu moralnego i w siłę materialnych środków, urosło tylko w długi, nieczynny szereg zestawionych nazwisk, łowionych przez lat 10 wszelką sztuką namowy i wyczerpaniem dowodów o pożyteczności towarzystwa, lub zwabionych blichtrem pięknie narysowanego dyplomu, i tej próżności należenia do uczonego towarzystwa.

Że niema przesady w tych słowach, dowiodło częste występywanie z towarzystwa członków, których przyjaciele bez ich woli wpisali w to grono, do którego się sami tak łatwo dostali, a gdzie na koszt pracy i ofiar małej liczby niezmordowanych mężów wolno każdemu stroić się w pawie pióra, i pokryć szarą stronę publicznego życia. Że niema przesady w tych słowach, dowodzi tego niesłychane ubóstwo towarzystwa, spowodowane grzeszną obojętnością całego kraju i niesłownością znaczniejszej liczby członków w płaceniu mizernej dwunastoreńskowej rocznej raty, którą każdy obywatel, przyjmujący dyplom towarzystwa na czynnego członka, obowiązuje się płacić pod słowem honoru.

Słowo honoru wyrównywało niegdyś najsurowszej przysiędze, a złamane pociągało za sobą infamią. Dziś spadło to słowo do rzędu trywialnych mowy potocznej przysłowiów, a że i w sprawach publicznych jest lekceważone, przekonuje nas tom XIV. rozpraw towarzystwa gospodarskiego, w którym widzimy, że w roku 1852 od 261 członków zaległo 436 rat, w sumie 5232 złr. m. k.

Towarzystwo składało się na ten czas z 512 członków czynnych ***)

Większa zatem połowa członków towarzystwa niedotrzymała słowa honoru, i nosi na sobie winę owej nędzoty, która byt tego towarzystwa z każdym podkopuje rokiem, bo z każdym dniem się wzmaga; albowiem pomimo nalegań i usilnych próźb komitetu niezmniejsza się liczba rat zaległych, ale przeciwnie wzrasta, i z końcem roku 1853 doszła do sumy 579 rat, przypadłych od 307 członków w sumie 6948 złr. m. k. ****)

Tę samę obojętność, a nawet wolno powiedzieć, ten sam grzech przeciwko sprawie publicznej znajdujemy w zapisach na rzecz zakładu rolniczo-przemysłowego.

Dwieście członków znajduje się w gronie galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego, którzy się jednym groszem nie przyczynili do kupna Dublan, i do założenia szkoły rolniczo-przemysłowej tamże; nie przyczynili się nawet pod warunkiem zwrotu kapitału, użytego na kupno majętności ziemskiej, a więc pod warunkiem hipotekowanej bezprocentowej pożyczki. Komitet bowiem zrażony obojętnością kraju, i niesłownością członków towarzystwa, straciwszy ufność w tradycyjną szczodrość narodową, niemiał odwagi odezwać się do ofiar, ale żebrał pożyczki na zakład naukowy, który miał z czasem zachęcać dzieci nasze do nieustawania w pożytecznej pracy i być tem ogniskiem, przy którego cieple dojrzewać miały młode umysły następnych pokoleń, i być tym stróżem, strzegącym narodowej sławy, wypiastowanej w ubiegłych wiekach głęboką nauką, a usta-

*) Obacz tom 1. rozpraw galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego tt. 14.

**) Obacz tom 16. rozpraw galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego str. 12.

***) Obacz tom 14. rozpraw galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego str. 14.

****) Obacz tom 16. rozpraw, galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego str. 14.

lonej szczodrą ręką wszędzie, gdzie w imię wiary i w imię światła proszono. (Dok. n.)

Rozmaitość.

* Reduty lwowskie stają się coraz więcej odwiedzane. Ostatnia w środę, była bardzo tłumna.

* Dzisiaj w sali redutowej jest bal na korzyść zakładu dla ciemnych. Zdaje się iż równie liczny będzie jak niedzielny. Zakład ten niema dostatecznej fundacyi. O pokrycie więc niedoborów musi udawać się do dobroczynności mieszkańców Lwowa. A któżby będąc w możności, odmówił tym biedakom wsparcia?

* W przyszłą sobotę odbędzie się bal na korzyść zakładów dobroczynnych, pod kierunkiem Towarzystwa Dam dobroczynności zostających.

* W przyszły wtorek dnia 13. lutego na strzelnicy dany będzie bal, z którego cały czysty dochód przeznaczony na urządzenie wewnętrzne właśnie budującego się Domu Ubogich.

* Pani Rywacka dotąd jeszcze nie wystąpiła w koncercie. Prześliczny jej głos najpiękniej wydałby się w operze całej. Dyrekcya opery powinnaby korzystać z jej bytności we Lwowie, i ułożyć się z nią o wystąpienie w operach, w których przy przeważnej liczbie widzów polskich mogłaby śpiewać po polsku, a w ostatnim razie i po włosku.

* Wkrótce następuje nowy rok teatralny, który jak wiadomo, od Wielkiejnocy się rozpoczyna. Kontrakty dawniejszych artystów z administracyą się kończą. Zwykle o nowym roku zawierano ugody na dal. W tym roku przedsiębiorca takowych z dawniejszemi artystami nie zawarł, mianowicie z panią Aszpergerową, z panem Smochowskim i Rejmersem; widać więc, iż stan teatru polskiego zupełnej ulegnie przemianie.

* W poniedziałek daje Jego Excellencya hrabia Namiestnik pierwszy bal w tym karnawale.

* We wtorek dany będzie trzeci i ostatni bal, tak zwany *fusion*, subskrybowany przez c. k. oficerów i urzędników i szlachtę.

Przyjechali od dnia 1. do 2. Lutego do Lwowa.

Erazm Korytowski z Płotycz. Starzyński Leopold hr. z Ditkowic. Henryk Brückmann br. z Mainicz. Henryk Wiszniewski z Dubrzemy. Lanckoroński Stanisław hr. z Żółkwi. Strzelecki Jan z Kukizowa. Płocki Józef z Jawcza. Hohendorf Edwin, z Byczowa. Starzyński Leopold hr. z Mogielnicy. Cywiński Zenon, z Telaczego. Ochocki Władysław, z Rymanowa. Sroczyński Karol, z Brusna.

PP. Ciharzewski Kazimierz, z Olejowa. Gottleb Feliks, z Dołhomościsk Skrzyszewski Józef, z Sewerynki. Nowosielski Ludwik, ze Zbory. Urbański Rudolf, z Dobrosina. Antoniewicz Wincenty, ze Skwarżawy. Gutowski Kazimierz, ze Stryja.

Wyjechali dnia 1. do 2. Lutego ze Lwowa:

PP. Zminkowski Józef do Brzeżan. Golejowski Jan hr. do Krywego. Koziebrodzki Feliks hr. do Krzywiec. Jaruntowski Jan do Hermanowic.

PP. Theodorowicz Jerzy do Potoczka. Łukasiewicz Kajetan, do Chocimierza. Łodyński Hieronim, do Milatyna, Głogowski Artur, do Bojaniec. Ochocki Władysław, do Gródka, Komarnicki Bolesław do Jakowiec.

Lwów 31. Stycznia. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 30 złr. — kr. do 35 złr. 30 kr. — Żyta po 27 złr. — kr. do 28 złr. 45 kr. Jeczmienia po 21 złr. 15 kr. do 22 złr. 30 kr. Owsa po 19 złr. — kr. do 20 złr. — kr. Grochu po 29 złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 22 złr. — kr. do — złr. — kr.— Ziemniaków po — złr. —do — złr. — kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do — złr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. — kr. w.w. Cetnar siana 5 złr. — kr. do 6 złr. 15 kr. Centnar słomy 3 złr. — kr. do 3 złr. 40 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 15 kr. do 4 złr. 22 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 1. b. m. o g. 2. po połud.

Augsburg za 100 złr.	$127\frac{1}{2}$	Pożyczka 5% $82\frac{7}{8}$ $4\frac{1}{2}$	$72\frac{3}{16}$
Hamburg za 100 tal. banco	$93\frac{1}{8}$	Akcye banku	1015
Londyn za 1 funt szterl.,	12 16	Kolej północna	$1982\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	$74\frac{1}{2}$
Paryż za 300 franków	148	Nowa pożyczka z loteryą	$102\frac{7}{16}$
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa	$86\frac{1}{4}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	51	złr.	5	kr.	54
Dukat cesarski	«	5	»	55	»	5	«	58
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	9	»	10	«	12
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	58	«	1	»	59
Talar pruski	»	1	«	53	»	1	«	55
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	25	»	1	«	26
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	92	«	—	»	92	«	25
Obligacye indemnizacyjne z kuponami.	»	76	»	25	»	76	»	40
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		75	«	10	..	75	..	25

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**